

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA

przez Maurycego Leblanc.

Agenci tymczasem uwolnili mnie z więzów. Silnie ugryzłem się w usta, krew popłynęła. Z chustką przy ustach, skurczony we dwoje, jak przystało człowiekowi, który przez dłuższy czas męczył się w niewygodnej pozycji i ma na twarzy krwawiący ślad zakneblowania, głosem zdławionym przemówiłem do komisarza:

— To był Arsen Lupin, nie może być żadnej wątpliwości... Nie tracąc czasu można byłoby go jeszcze złowić... Sądzę, że mógłbym może być panu pomocnym...

Odczepiono wagon, który miał być oddany na usługi władz policyjnych. Pociąg zaś odszedł dalej do Havre. Przez tłum ciekawych, tłoczących się na peronie, poprowadzono nas do biura naczelnika stacji.

Przyszła na mnie chwila wahania. Pod jakimkolwiek pretekstem mógłbym się teraz wymknąć, dopaść mego automobilu i czmychnąć. Oczekiwać tu stanowczo było niebezpiecznie. Lada drobny wypadek, jakaś depesza z Paryża — i byłbym zgubiony.

Tak, ale mój złodziej? W okolicy mało znanej, nie mając żadnej znikąd pomocy, nie mogłem wiele mieć nadziei, że go pochwyć.

— Ba, spróbujmy wszakże — pomyślałem. Gra nie łatwa do wygrania, ale taka zajmująca! A stawka też warta zachodu.

Więc kiedy nas powołano do powtórzenia zeznań, zawołałem:

— Panie komisarzy! Arsen Lupin nie czeka. Mój automobil znajduje się tu w podwórzu. Jeśli pan zrobi mi tę przyjemność i zechce go użyć, można byłoby spróbować...

Komisarz uśmiechnął się dowcipnie:

— Myśl niezła... tak dalece niezła, że nawpół już wykonana.

— Ach tak?

— Tak panie; dwaj moi agenci pojechali już na rowerach... od kilku już chwil...

— Ale dokąd?

— Do tunelu. Znajdą tam u wyjścia jakieś poszlaki, wskazówki i wpadną na ślad Arsena Lupin.

Nie mogłem wstrzymać się, aby nie wzruszyć ramionami.

— Dwaj pańscy agenci nie znajdą ani poszlak, ani wskazówek.

— W istocie?

— Już Arsen Lupin tak się urządził, aby go nikt nie spostrzegł wychodzącego z tunelu. Dopadł pewno pierwszej drogi, a tam...

— A tam Rouen, i tam go pochwycimy.

— On nie pójdzie do Rouen.

— Więc pozostanie w okolicy, gdzie łatwiej go jeszcze znaleźć.

— Nie zostanie i w okolicy.

— O, o! A gdzież się podzieje?

Wyjąłem zegarek z kieszeni.

— W obecnej chwili Arsen Lupin kręci się dokoła stacji w Darnétal. O drugiej pięćdziesiąt, to jest za dwadzieścia dwie minuty wsiądzie do pociągu, który odchodzi w Rouen z dworca Północnego do Amiens.

— Tak pan myśli? A skąd to pan wie tak dobrze?

— To bardzo proste. W wagonie Arsen przeglądał mój rozkład jazdy. Pociąg mu to? Jedynie tylko, aby wiedzieć, czy w pobliżu miejsca, kędy wyskoczył z wagonu, niema jakiej stacji i czy jaki pociąg nie zatrzyma się tam wkrótce. Ja także przeglądałem pierwój ten rozkład i dowiedziałem się z niego, co mi było potrzebnem.

— Naprawdę mówię panie, świetny wywód. Co za znajomość rzeczy!

Uniesiony dowodem popełniłem niezręczność wykazania się ze zbytnią przenikliwością. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem i czułem, że wzburzyło się w nim podejrzenie. O bagatela! Fotografie Arsena Lupin, rozsyłane przez policję, bardzo mało przypominały tego, który w tej chwili przed nim się znajdował; trudno byłoby poznać. W każdym razie jednak był dość zaniepokojony, zmieszany.

Nastąpiła chwila ciszy. Coś dwuznacznego, niepewnego zamykało nam usta. Mnie samego przebiegł przykry dreszcz niepokoju. Czyżby los przecie mnie się zwrócił? Opanowawszy się szybko, zacząłem się śmiać.

— Mój Boże, nie tak nie odbiera przytomności, jak strata teki z papierami i pragnienie jej odnalezienia. Zdaje mi się, że gdybyś pan zechciał dodać mi paru agentów, może moglibyśmy we trzech...

— Och błagam pana, panie komisarzy — wykrzyknęła pani Renaud — zechciej pan usłuchać pana Berlat

Przemówienie mojej nieocenionej przyjaciółki stało się decydującem. Imię Berlat, wymienione przez nią, żonę osobistości wpływowej, stawiało się nieodwołalnie mojem, nadawało mi tożsamość, której nikt nie śmiałby zaprzeczyć. Komisarz powstał:

— Byłbym bardzo szczęśliwy, proszę mi powiedzieć panie Berlat, gdyby się panu udało pochwyć Arsena Lupin. Zależy mi na tem niemniej, jak panu.

Przeprowadził mnie aż do automobilu. Przedstawił mi dwóch agentów: Honoryusza Massol i Gastona Delivet; wsiedli. Ja wskoczyłem już w biegu. Mechanik poruszył korbą — w kilka sekund później byliśmy już za stacją. Byłem ocalony.

Ach przyznaję, że pędząc przez bulwary, otaczające stary gród normandzki, potężnym biegiem trzydziestu pięciu koni mego motoru Moreau-Lepton, nie byłem pozbawiony pewnego stopnia dumy.

Motor mruczał harmonijnie. Na prawo, na lewo drzewa umykały za nami. Wolny, bezpieczny, miałem jedynie do załatwienia parę drobnych spraw osobistych, w czem mi pomagali dwaj rzetelni przedstawiciele siły państwowej. Arsen Lupin udawał się na poszukiwanie Arsena Lupin!

Skromne podpory porządku publicznego: Gaston Delivet i Honoryusz Massol, jakże obecność wasza była dla mnie cenną! Bez was cóżbym począł? Ileż razy bez was na rozstaju obrałbym złą drogę! Bez was Arsen Lupin myliłby się, a tamtenby umknął!

Ale daleko jeszcze było do końca — o daleko! Naprzód musiałem schwytać jegomościa, a potem sam osobiście dostać w ręce papiery, które mi skradł. Na żaden sposób nie można było dozwolnić, aby który z moich akolitów wsunął nos w te dokumenty, tembardziej aby spostrzegł, ile mi na tem zależy. Posługiwać się nimi, a działać poza nimi, oto moje główne zadanie; a łatwem nie było.

Do Darnétal przybyliśmy w trzy minuty po odejściu pociągu. Co prawda miałem tę pociechę, że dowiedziałem się, iż jakieś indywiduum w szarem okryciu, wciętym do stanu, o czarnym aksamitnym kołnierzu kupiło bilet do Amiens i wsiadło do wagonu drugiej klasy. Stanowczo mój debiut policyjanta rozpoczynał się szczęśliwie.

Delivet rzekł do mnie:

— Ten pociąg był kurjerem i nie zatrzyma się pierwój aż w Montérolier Buchy za dziewiętnaście minut. Jeśli tam nie będziemy przed przyjściem pociągu, to Arsen Lupin może zarówno albo dalej ruszyć do Amiens, albo zwrócić się do Clères, a stamtąd do Dieppe, albo Paryża.

— Jak daleko do Montérolier?

— Dwadzieścia trzy kilometry.

— Dwadzieścia trzy kilometry w dziewiętnastu minutach... Będziemy tam pierwój od niego!

Szalona jazda! Mój wierny Moreau Lepton nigdy z podobnym zapałem i gorliwością nie służył mej niecierpliwiej chęci. Zdawało mi się, że przelewam weń wprost, bez pomocy dźwigni i korby, siłę mojej woli. Zdawał się podzielać moje pragnienie, uznawać moją zawziętość. Rozumiał moją nienawiść do tego łotra Arsena Lupin. Niegodziwiec! Zdrajca! Czyż nie zemszczę się nad nim! Czyż raz jeszcze zadrwi sobie z potęgi, z tej potęgi, której jestem wcieleniem:

— Na prawo! — wykrzykiwał Delivet. Na lewo!... Prosto!...

Mknęliśmy ponad ziemią. Słupki podrózne wyglądały jak małe tchórzliwe zwierzątka, pierzchające za naszym zbliżaniem się.

Nagle na skrócie drogi ukazał się kłęb dymu — to kurjer północny.

Wszczęła się gonitwa — jeden obok drugiego, na przestrzeni kilometra — gonitwa niesłychana, której koniec był naprzód wiadomy.

Gdyśmy stanęli u celu wyprzedziliśmy pociąg o dwadzieścia długości.

W trzy sekundy potem staliśmy już na peronie przed wagonami drugiej klasy. Pootwierano drzwiczki — parę osób wysiadła. Złodzieja nie było. Przetrasaliśmy wszystkie przedziały — Arsena Lupin ani śladu.

— Do dyaska! — wykrzyknąłem — poznał

mnie, gdyśmy się ścigali i wyskoczył pewno z wagonu.

Maszynista pociągu potwierdził moje przypuszczenie. Widział jakiegoś człowieka, jak zbiegał po nasypie kolejowym o dwieście metrów od stacji...

— Tam, tam, patrz pan... przechodzi równinę. Rzuciłem się w pogoń, za mną dwaj akolici, a właściwie jeden tylko, bo drugi, Massol, okazał się doskonałym biegunem, zarówno szybkim, jak zręcznym.

W kilka minut przestrzeń, dzieląca go od zbiega, zmniejszyła się znacznie. Zbieg spostrzegł go, przeskoczył płot i rzucił się ku pochyłości, po której wnet zbiegać począł. Za chwil kilka ujrzelśmy go już dalej: wpadał do małego lasu.

Kiedy tam przybyliśmy Massol oczekiwał nas na skraju lasu. Z obawy, aby nas z oczu nie stracić, nie chciał zapuszczać się w głąb.

— Winszuję ci przyjacielu — rzekłem do niego — po takiej przechadzce zbieg nasz musi za ledwo oddychać. Mamy go w ręku.

Puściłem się na przegląd okolicy, rozmyślając wciąż nad środkami schwytania złodzieja bez czyjejkolwiek pomocy. Gdyby władze sądowe dostały się pierwój do mojej własności, otrzymałbym ją dopiero po długich nudnych śledztwach. Wróciłem wreszcie do moich towarzyszy.

— Rzecz prosta i łatwa — rzekłem. — Wy, Massol, stańcie tu, po lewej stronie, a wy, Delivet, po prawej. Czuwajcie dobrze nad całą okolicą poza lasem; nie wyjdzie niepostrzeżony, chyba przez ten wąwóz, gdzie ja sam nadzór obejmę. Jeśli nie opuści wąwozu, zapuszczę się tam i naturalnie, napedzę go na którego z was. Macie więc tylko czekać i pilnować. Ach, zapomniałem! w razie niebezpieczeństwa sygnał — strzelić.

Massol i Delivet oddalili się, każdy w swoją stronę. Zaledwo znikli mi z oczu, zapuściłem się w las, bacząc starannie, aby nie być spostrzeżonym, ani usłyszanym. Były tam gęstsze okrutne, przeznaczone do polowania, ścieżki wąziuchne, po których można tylko iść, zginając się pod niskim sklepieniem zieloności.

Jedna z takich ścieżyn wiodła na małą polankę, gdzie na wilgotnej trawie rozróżnić można było ślady kroków. Poszedłem tymi śladami, starając się przesuwać pod gąszczami. Zawiodły mnie do stóp małego wzgórza, na którego wierzchołku stała jakaś rudera, nawpół już rozwalona.

— Tam być musi — pomyślałem — stanowi sko niezłe obmyślane.

Wdrapałem się aż do ścian samej rudery. Lekki szelest dał mi znać o czyjejś obecności. Jakoż przez otwór spostrzegłem zbója, obróconego do mnie plecami.

W dwóch skokach byłem już za nim. Usiłowałem wycelować do mnie trzymany w ręku rewolwer. Nie dałem na to czasu; rzuciłem go na ziemię w ten sposób, że obie jego ręce znalazły się pod nim skrócone, a ja z góry kolanem przyciskałem mu pierś.

— Słuchaj — szepnąłem mu do ucha — jestem Arsen Lupin. Oddasz mi natychmiast z dobrej woli moją tekę i torebkę tamtej pani... wzamian za co wyrwę cię ze szponów policyi i zaciągnę do szeregu moich towarzyszy. Jedno słowo tylko: tak, czy nie?

— Tak — szepnął.

— Tem lepiej. Sprawa twoja dzisiejszego ranka była ładnie pomyślana. Zgodzimy się.

Podniosłem się. On sięgnął do kieszeni, wyciągnął szeroki nóż i zamierzył się na mnie.

— Łotrze! — wykrzyknąłem.

Jedną ręką odparowałem uderzenie, drugą, za dałem potężny raz w arterię, wiodącą do mózgu; raz ten nazywa się: „hook w arterię główną“. Padł, omdlał. W tece odnalazłem wszystkie swoje papiery i bankowe bilety. Przez ciekawość zajrzałem do jego teki. Na kopercie, zaadresowanej do niego, wyczytałem: Piotr Onfrey.

Zadrżałem. Piotr Onfrey, zabójca z ulicy Lafontaine w Auteuil! Piotr Onfrey, który zarzynał panią Delbris i jej dwie córki. Pochyliłem się nad nim. Tak, była to ta sama twarz, która w wagonie wzbudziła we mnie wspomnienie widzianych już gdzieś rysów.

Ale czas upływał. Włożyłem do koperty dwa stufrankowe bilety i na karcie skreśliłem te słowa: „Arsen Lupin dobrym swoim kolegom, Honoryuszowi Massol i Gastonowi Delivet, w dowód wdzięczności“. Umieściłem to na widoku, w środku rudery. Na boku leżała torebka pani Renaud. Czyż mogłem nie zwrócić tej drobnostki mojej nieocenionej przyjaciółce, która mi takie oddała usługi? Wyznałem wszakże, że z wnętrza torebki wyciągnąłem wszystko, co posiadała godnego uwagi, zosta-